

Marczewska-Zagdańska, Hanna

"FDR and the creation of the U. N.", Townsend Hoopes, Douglas Brinkley, New Haven 1997 : [recenzja]

Dzieje Najnowsze 30/4, 242-252

1998

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

o poczynaniach Anny, która także kontrolowała jego drinki. W listach do męża z radością pisała, że ojciec czuje się nadspodziewanie dobrze (s. 109-110).

Autor niewiele pisze o rokowaniach w Jałcie, skupiając swoją uwagę, zgodnie ze swoim celem — głównie na stanie zdrowia Roosevelta. Przytacza opinie naocznych świadków, m.in. Charlesa Bohlena i admirała Williama Leahy'ego, którzy—choć zauważyli, że prezydent był mniej energiczny i nieraz zmęczony — znakomicie radził sobie w trakcie obrad. Bohlen wręcz twierdził, że „nie znał on żadnej kwestii, w której prezydent ustąpiłby Rosjanom z powodu swojej kondycji zdrowotnej” (s. 106). Teza, w świetle dostępnych materiałów, trudna do obrony.

W drodze powrotnej z Jałty prezydent trochę pracował, przygotowując z Samuelem Rosenmanem raport z obrad jałtańskich dla Kongresu. Często godzinami przesiadywał on na pokładzie okrętu bez ruchu, czasem pogrążony był w zadumie lub drzemał. W gruncie rzeczy współpracownicy zdawali sobie sprawę, że był on człowiekiem nie tylko zmęczonym, ale i poważnie chorym. Zauważano częste drżenie rąk, którego nie był w stanie opanować. W rozmowach często powtarzał niektóre wątki i miał zaniki pamięci. Ale publicznie o tym się nie mówiło. Była to swoista zmowa milczenia. Sam Roosevelt jakby nie przyjmował do wiadomości faktu, że był poważnie chory i wolał myśleć i mówić o zmęczeniu, a nie chorobie (s. 112). Być może wierzył, że znanym sobie optymizmem, że „pokona” swoje niedyspozycje, powstrzyma postęp choroby dewastującej organizm. A w każdym bądź razie, co podkreślała także Anna, na pewno nie spodziewał się on tak błyskawicznego postępu choroby.

1 III 1945 r., występując w Kongresie, Roosevelt po raz pierwszy przemawiał na siedząco. Pierwszy raz też publicznie nawiązał do swego kalectwa, czego tak starannie cały czas unikał¹. Stwierdził on, że liczy na wyrozumiałość słuchaczy, znacznie łatwiej bowiem będzie mu przemawiać na siedząco, a „nie dźwigając około 10 funtów żelastwa na moich dolnych kończynach” (s. 110). Audytorium przyjęło to ze zrozumieniem, ale samo wystąpienie, jak oceniono potem, pozbawione było znanej u niego werwy i witalności.

W kolejnych tygodniach, jak odnotował jeden ze współpracowników Roosevelta, „obserwowaliśmy jak powoli odchodził od nas i żadna ziemską moc nie mogła go tu zatrzymać” (s. 115). Zwolnione tempo życia, znacznie krótszy dzień pracy, ani pobyt w Hyde Parku, a potem w Warm Springs nie zregenerowały sił prezydenta. Franklin Delano Roosevelt zmarł 12 IV 1945 r., podczas pozowania do portretu malarce Elizabeth Shoumatoff.

Halina Parafianowicz
Białystok

Townsend Hoopes, Douglas Brinkley, *FDR and the Creation of the U. N.*, New Haven 1997, Yale University Press, ss. 228

Organizacja Narodów Zjednoczonych stanowi drugą już wielką próbę w tym stuleciu zorganizowania międzynarodowej społeczności w celu zapobieżenia wybuchowi globalnej wojny i po raz drugi powstaje z inicjatywy prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

¹W 1921 r. prawie 40-letni Roosevelt chorował na paraliż dziecięcy, w wyniku którego nigdy nie odzyskał władzy w nogach. Do końca życia korzystał z pomocy osób trzecich i poruszał się na kulach lub wózku inwalidzkim. Ale fakt kalectwa prezydenta zρέcznie ukrywano przed opinią publiczną. W olbrzymiej kolekcji ikonograficznej (ponad 35 tys. zdjęć) w Bibliotece Prezydenckiej Roosevelta w Hyde Parku jedynie na dwóch zdjęciach prezydent siedzi na wózku inwalidzkim.

Jej poprzedniczka — Liga Narodów, powołana do życia po I wojnie światowej, w 1920 r., po zaledwie kilkunastu latach przestała istnieć jako istotny czynnik w stosunkach międzynarodowych. Konwencja Ligi Narodów, będąca testamentem prezydenta Woodrowa Wilsona, opierała się przede wszystkim na moralnym potępieniu wojny jako sposobie obrony przed zbrojną agresją. Zasada jednomyślności w podejmowaniu decyzji, kępująca akcje zbiorowe, stanowiła poważne i istotne utrudnienie, w konsekwencji prowadzące do paraliżu w przeciwdziałaniu szczególnie rewizjonistycznym tendencjom Hitlera wypływającym z poczucia represyjnych warunków Traktatu Wersalskiego. Nieudolna polityka Francji i Wielkiej Brytanii, rywalizacja wielkich mocarstw oraz ostry izolacjonizm amerykański objawiający się przede wszystkim odrzuceniem członkostwa w Lidze Narodów osłabiały dodatkowo wersalski porządek, prowadząc do kolejnego wielkiego kataklizmu.

Następna organizacja, utworzona w 1945 r. staraniem prezydenta Franklina Delano Roosevelta, stanowić miała alternatywę idealistycznej polityki Wilsona. Jej celem pierwotnym było rozszerzenie wojennej koalicji czterech wielkich mocarstw, tzw. policjantów świata: Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Związku Sowieckiego i przedkomunistycznych Chin w celu odbudowy świata ze zgliszcz II wojny światowej, ustanowienia równowagi sił i skutecznego powstrzymywania agresorów. Droga na konferencję w San Francisco, gdzie ostatecznie została powołana do życia ONZ, była długa, trudna, pełna przeszkód oraz wzajemnych tarć, kontrowersji i politycznych rozgrywek wewnątrz Wielkiej Koalicji. Tym razem jednak zbudowana konstrukcja przetrwała nawet najcięższe lata „zimnej wojny”.

Ten właśnie fenomen ONZ zainteresował dwóch amerykańskich badaczy Townesnda Hoopesa i Douglasa Brinkleya, którzy postanowili w książce zatytułowanej *FDR and the Creation of the U. N.* przedstawić w sposób syntetyczny i bardzo przekrojowy historię narodzin organizacji wraz ze wszelkimi towarzyszącymi jej meandrami i sprzecznościami. Praca ta już w krótkim czasie dotarła do szerokiego odbiorcy i doczekała się wielu recenzji i pozytywnych wypowiedzi. Robert Dallek, znany i ceniony historyk, autor m.in. *Franklin D. Roosevelt and American Foreign Policy, 1932-1945*, napisał, że książka ukazująca rolę Roosevelta w tworzeniu ONZ jest głęboka, przekonująca i niezmiernie aktualna, ukazuje nie tylko trudności w tworzeniu i działaniu, ale przede wszystkim korzyści w utrzymywaniu pokoju międzynarodowego. Jako rekonstrukcja rozwoju stosunków międzynarodowych ma szansę stać się książką podstawową na wiele lat.

Arthur Schlesinger jr., autor *The Age of Roosevelt*, przedstawił recenzowaną pracę jako pasjonującą, miejscami ostrą i zjadliwą, odsłaniającą różnice między tym, czym miało być ONZ, a czym się stało. Ernest R. May, autor *Cold War Strategy: Interpreting NSC68*, stwierdził: „znakomicie opowiedziana historia, przypominająca wszelkie nadzieje związane z ONZ. Nie ma bardziej na czasie pojawiającej się książki, prezentującej scenariusz polityki światowej”, John Mortom Blum, pod redakcją którego ukazało się *From the Morgenthau Diaries*, ocenił: „ta nieduża praca w sposób klarowny i pouczający udowadnia konieczność działań pokojowych na rzecz światowego porządku oraz kontynuowania międzynarodowych zobowiązań Stanów Zjednoczonych jako mocarstwa”, a Rudy Abramson w „The New York Times Books Review” konstatał: „autorzy wykonali wspaniałą pracę, by ukazać problemy, którym organizacja musi sprostać dzisiaj i by wyjaśnić, dlaczego szanse na dokonanie reform oceniane są tak problematycznie”.

Niezaprzeczalnie podstawowym walorem omawianej pracy jest całościowe spojrzenie na proces kształtowania się nowej powojennej organizacji pokojowej. Konferencja założycielska w San Francisco, która dla niektórych badaczy stanowi punkt wyjścia, tu potraktowana została

jako etap końcowy wieńczący wieloletnie zabiegi o instytucjonalny kształt i funkcje. Jest to też pierwszy zapis ukazujący udział Stanów Zjednoczonych w tworzeniu ONZ, kluczową, pierwszoplanową rolę i determinację prezydenta Roosevelta w przewycięzaniu wojennych przeszkód oraz ewolucję amerykańskiej opinii publicznej wobec powojennego planowania. Na gruncie amerykańskim idea powołania do życia następczyni Ligi Narodów generowana była wcześniej zdobytymi doświadczeniami oraz wojną. Powolny wzrost społecznego poparcia umożliwił podjęcie dyskusji, niejednokrotnie ożywionej i pełnej sprzeczności, wpięty w wąskim gronie Białego Domu i Departamentu Stanu, następnie na forum Kongresu i wreszcie w ramach Wielkiej Koalicji.

Autorzy, analizując początki ONZ, nie ukrywali, że pierwotne jej cechy zostały współcześnie zaprzepaszczone, zagubione w wyniku międzynarodowych sporów, niezdecydowania i braku kierownictwa. Wymieniając wszystkie najbardziej istotne obecnie problemy, związane szczególnie z rozpadem po 1989 r. podziału świata na dwa przeciwstawne obozy, pragnęli wziąć udział w międzynarodowej dyskusji na temat przyszłej roli i miejsca tej organizacji. Jaką ma ona być, szczególnie gdy wobec ostatnich wydarzeń w Bośni i Somali rośnie nieprzygotowanie Rady Bezpieczeństwa, zmniejsza się zaangażowanie USA, gdy coraz trudniej jest organizacji sprostać politycznym i militarnym wymogom.

Książka ta zawiera zatem pewne polityczne przesłanie i *credo*. Jest nim apel o nierozbijanie, nierozwiązywanie ONZ, a jedynie poważne zreformowanie w kierunku i duchu pierwotnej idei F. D. Roosevelta. Zmniejszenie nadmiernie rozbudowanej administracji, kontrola w zarządzaniu, redukcja olbrzymiego zadłużenia i nade wszystko ograniczenie roli jedynie do utrzymania pokoju (Błękitne Berety), a nie przywracania pokoju stanowią, zdaniem Autorów, panaceum na obecne kłopoty i problemy ONZ — organizacji nadal jednak niezbędnej we współczesnym świecie.

Monografia podzielona została na 16 rozdziałów, w których, w sposób niezmiernie skondensowany, zaprezentowane zostały najważniejsze, zdaniem Autorów, etapy w procesie powstawania ONZ. Pierwszy — *Duch Woodrow Wilsona* potraktować można jako merytoryczne wprowadzenie ukazujące warunki tworzenia i działania Ligi Narodów. Odrzucenie przez Kongres uczestnictwa Stanów Zjednoczonych w Lidze było, zdaniem Autorów, nie tylko dowodem obaw i lęków Amerykanów przed europejskimi intrygami, ale nade wszystko dowodem sztywności zasad prezydenta Wilsona, tkwiącej korzeniami w jego moralnej i intelektualnej arogancji (s. 2). Te ostre słowa, pełne gorczy i oskarżeń, znajdują swoje uzasadnienie w obsesyjnym odrzucaniu przez ciężko schorowanego już prezydenta wszelkich poprawek umożliwiających senacką akceptację. 80% senatorów opowiadało się za ideą bezpieczeństwa zbiorowego, widząc w niej również strategiczny imperatyw dla USA. Największe jednak sprzeciwy budził artykuł 10 konwencji o automatycznym zbrojnym włączeniu się każdego członka Ligi Narodów w celu powstrzymania agresorów. Senator Lodge proponował każdorazowo w takim przypadku zgodę Kongresu. Poprawka ta nigdy jednak nie uzyskała zrozumienia Wilsona zamkniętego na wszelkie apele społeczeństwa, pryncypialnie i kurczowo trzymającego się tekstu już przez siebie podpisanego w Paryżu. Ten upór wypływający, jak twierdzą dość kontrowersyjnie Autorzy, z rozstrojonego umysłu prezydenta nie przyniósł pożytku Ameryce i być może przyczynił się do popchnięcia Amerykanów w ramiona aż trzech kolejnych republikańskich prezydentów — Warrena G. Hardinga, Calvina Coolidge'a i Herberta C. Hoovera.

Rozdział następny *Nieublagana droga ku wojnie*, który podobnie jak pierwszy stanowi nadal jedynie wprowadzenie, wzbudzić może chyba największe zastrzeżenia czytelników. Z mało

zrozumiałych bowiem względów Autorzy postanowili na kilkunastu stronach przedstawić ogromny, trudny i złożony materiał z historii Europy i świata w całym dwudziestolecu międzywojennym oraz w początkowym okresie II wojny światowej aż do włączenia się Ameryki po ataku na Pearl Harbor. To ekspresowe tempo powoduje dość szkolne, wręcz hasłowe traktowanie zagadnień — atak japoński na Mandżurię, agresja włoska na Etiopię, remilitaryzacja Nadrenii, wojna domowa w Hiszpanii, Anschluss Austrii, kryzys czechosłowacki.

Daleko idące uproszczenia prowadzą nawet do przeinaczeń. Sojusz: Oś Berlin — Rzym — Tokio ograniczono jedynie do podpisanego we wrześniu 1940 r. tzw. paktu berlińskiego (s. 21) bez uwzględnienia wcześniejszych porozumień, takich jak pakt antykominternowski czy stalowy. Przywrócenie w USA zasady cash and carry (s. 21) z listopada 1939 r., a nie dużo ważniejsze pełne zniesienie w tym czasie embarga na broń i amunicję uznano za podstawę Lend-Leasu. Utworzenie wojennej strefy neutralnej wokół kontynentu amerykańskiego powiązane z rozszerzeniem doktryny Monroe'a na Grenlandię (s. 21), co nastąpiło dopiero w kwietniu 1941 r., zamiast z konferencją w Panamie z października 1939 r., kiedy taka strefa w ogóle powołana została do życia.

Nie mniej skrótowo potraktowano także sprawy polskie. Polacy, dzielni, choć nie uzbrojeni, pozbawieni realnej pomocy, stali się ofiarami podwójnej agresji tak hitlerowskiej, jak i sowieckiej. Zdumiewać może w tym miejscu przypis odsyłający zainteresowanych do jedynie niewiele mówiącej pracy Harleya Nottera *Postwar Planning Preparation 1939-1945* (s. 15-16, 253).

Wreszcie odnotować należy łamanie kanonów przyjętych już wcześniej w amerykańskiej historiografii, np. pojęcie „phony war” (wojna na niby), używane na określenie pierwszego okresu wojny, występuje tu z pominięciem cudzysłowu (s. 16).

Ogółem całkowita fragmentaryczność oraz częste zaburzenia chronologii utrudniają czytelnikowi percepcję tego, w sumie najsłabszego, rozdziału.

Następnie jednakże partie książki przynoszą spowolnienie tempa narracji oraz rozluźnienie faktograficzne na rzecz częściej wprowadzanej analizy. III rozdział zatytułowany *Zatoka Argentia i Karta Atlantycka* ukazuje uwarunkowania, przebieg oraz efekt końcowy pierwszego spotkania Churchilla z Rooseveltem na Oceanie Atlantyckim u wybrzeży Nowej Funlandii. Podpisana wówczas, tj. 14 VIII 1941 r., deklaracja prowadząca do koalicji Narodów Zjednoczonych potraktowana została przez autorów jako kamień węgielny pod ONZ, mimo że Roosevelt, co szczególnie zostało uwypuklone, wykreślił z punktu 5 projektu Karty Atlantyckiej słowa mówiące o efektywnej międzynarodowej organizacji. Zastaniając się izolacjonizmem amerykańskim i niechęcią do wskrzeszenia Ligi Narodów, nastawiony wówczas głównie na kooperację Londynu i Waszyngtonu, obiecał jednakże powrót do zagadnienia w stosownym momencie.

Zdaniem Autorów, ta określona postawa prezydenta skłania do wniosku, że w koncepcjach F. D. Roosevelta małe miłujące pokój narody (peace loving nations), nie odgrywały, gdyż nie były w stanie odegrać, politycznej roli na arenie międzynarodowej. W czasie wojny nie wytrzymały konkurencji z dużymi zmodernizowanymi armiami wielkich mocarstw, w czasie pokoju zaś były jedynie ciężarem z powodu niedostatku ekonomii. Głównym zatem motywem Roosevelta, choć nie wpisanym do Karty Atlantyckiej, było ustanowienie specjalnych praw wielkich mocarstw w określaniu i rozbrajaniu potencjalnego agresora. Co prawda ostatecznie prezydent pod naciskiem Winstona Churchilla, Sumnera Wellesa i Harry Hopkinsa wyraził zgodę na utworzenie szerokiego i permanentnego systemu bezpieczeństwa ogólnego,

to jednak pod pojęciem rozbrojenia potencjalnego agresora rozumiał również rozbrojenie małych narodów.

Wyraźne rozróżnienie między małymi a potężnymi państwami jako wykładnia w polityce Roosevelta przyszło, zdaniem autorów — o czym traktuje rozdział IV *Początek powojennego planowania* — wraz ze złożeniem podpisów pod Kartą Atlantycką przez przedstawicieli Moskwy i Nankinu w styczniu 1942 r. Tak utworzone *trusteeship of powerful* (powiernictwo wielkich) dało dopiero wtedy, tj. dzień później, sposobność 22 innym krajom, w tym i Polsce, przyłączenia się do deklaracji zwanej odąd Deklaracją Narodów Zjednoczonych. Istotą jej było uznanie konieczności zgodnego i wspólnego działania w wojnie przeciwko państwom faszystowskim.

Mocarstwom anglosaskim dawała ona też pewne gwarancje ze strony Rosji niepodpisywania separatystycznego pokoju z Berlinem. Już wówczas bowiem rodziły się obawy i niepokoje dotyczące trwałości i jedności Wielkiej Koalicji, zwłaszcza na tle terytorialnych roszczeń Moskwy wobec wschodnich obszarów Polski oraz krajów bałtyckich. Stalin traktował je jako rzeczywisty przebieg wzajemnych relacji. Churchill gotowy na ustępstwa, zachęcany był dodatkowo przez Edena traktującego podpisanie konkretnej umowy z Kremlem jako ograniczenie dalszych żądań i apetytów Stalina. Welles podzielający ogólnie opinie Edena był większym nawet optymistą co do możliwości stopowania żądań sowieckich. Według niego polityczne wpływy USA w 1942 r. osiągały punkt szczytowy: moralny prestiż, gigantyczne zbrojenia, mobilizacja 12 milionów obywateli, a nade wszystko armia niemiecka pod Moskwą i sowieckie nadzieje na Lend-Lease, dawały Ameryce możliwość przejęcia całkowitej inicjatywy powojennego planowania. Tymczasem Roosevelt, opowiadający się za możliwie najbardziej elastyczną polityką, pragnął odłożenia dyskusji o sprawach terytorialnych w Europie Środkowej, ograniczając się jedynie do ustnych zapewnień akceptacji sowieckiej potrzeby bezpieczeństwa. W rozmowie z brytyjskim ambasadorem, lordem Halifaxem, w marcu 1942 r. stwierdził, że Stalin nie musi martwić się o kraje bałtyckie, choć spisanie takich zapewnień na papierze nie byłoby zbyt bezpieczne.

Równoległe w Departamencie Stanu z inicjatywy Wellesa toczyły się prace grupy specjalnie powołanej do spraw planowania. Już wkrótce poczynione ustalenia, mimo wielu późniejszych dyskusji i modyfikacji, wytyczyły główne kierunki prac nad przyszłą międzynarodową organizacją. Zwana jeszcze ogólnikowo authority (władza) składać się miała z przedstawicieli 26 państw-sygnatariuszy Deklaracji Narodów Zjednoczonych. Jednakże jej ciało wykonawcze Provisional Armistice Administration tworzyć miały jedynie cztery państwa stałe: Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Związek Sowiecki i Chiny wraz z rotacyjnie wybieranymi pięcioma krajami reprezentującymi regiony: Europę Wschodnią, Europę Zachodnią, Daleki Wschód, Amerykę Łacińską i świat muzułmański. Ten wyraźny dualizm organizacyjny, odzwierciedlający hierarchię ważności i wartości, potwierdzający rooseveltofskie koncepcje, wpisany został w późniejszą strukturę ONZ jako Zgromadzenie Ogólne i Rada Bezpieczeństwa.

Początkowo jednakże sam projekt nie został zatwierdzony nawet przez prezydenta, który przez cały rok 1942, a także 1943, starał się jedynie prowadzić akcję edukacyjną w społeczeństwie amerykańskim na rzecz bezpieczeństwa zbiorowego i powojennego planowania.

Rozszerzająca się debata publiczna, o czym traktuje rozdział V, tak właśnie zatytułowany, przyniosła zaskakujące bogactwo rozwiązań, poczynając od anglo-amerykańskiego dyrektoriatu proponowanego przez doradcę Departamentu Stanu, prof. Jamesa T. Shotwella, poprzez triumwirat Waszyngton-Londyn-Moskwa postulowany przez Waltera Lippmanna czy między-

narodową konferencję wszystkich narodów, za którą opowiadała się komisja do spraw studiów organizacji pokojowej, aż po najbardziej radykalne rozwiązania, jak Fostera Dullesa rząd światowy z parlamentem i sądem czy Clarence'a Streita powszechną federację wszystkich demokracji.

Na tym tle czytelnika może zaskoczyć idea Herberta Clarka Hoovera prezydenta USA w latach 1929-1932. Ten wieczny adwersarz F. D. Roosevelta w książce napisanej wspólnie z Hugh Gibsonem w 1942 r. *The Problems of Lasting Peace*, ukazał koncepcje, zdaniem autorów, zadziwiająco zbieżną w swej istocie z koncepcją urzędującego wówczas prezydenta (s. 57). Wychodząc z założenia, że każdy człowiek może nauczyć się kontrolowania, ale wojny i agresji się nie wyrzeknie, Hoover postulował oddzielenie odpowiedzialności za przywracanie pokoju i rozbrojenie agresora od odpowiedzialności za budowanie prawa międzynarodowego. Na straży pierwszego zadania miały stać wyłącznie siły zbrojne wielkich mocarstw, drugiego zaś — połączone wysiłki wszystkich narodów.

Kolejnym etapem w dochodzeniu Amerykanów do konkretnych rozwiązań, co ukazuje rozdział VI *Postęp roku 1943*, było przeniesienie dyskusji publicznej do Kongresu wraz ze zgłoszeniem w marcu 1943 r. przez senatora Josepha Balla rezolucji B2-H2, której najbardziej prowokacyjnym elementem było otwarte nawoływanie do udziału Stanów Zjednoczonych w polityce międzynarodowej. Powoli również, choć nie bez oporów, następowało wypracowywanie kompromisu amerykańsko-brytyjskiego. Służyły temu m.in. dwustronne spotkania na szczycie Roosevelta i Churchilla w Casablance w styczniu 1943 r. o kryptonimie TORCH czy w Waszyngtonie w maju 1943 — TRIDENT. O ile projekty amerykańskie stanowiły od razu syntezę planowania globalnego i regionalnego, to brytyjskie dotyczyły najpierw wyłącznie planowania regionalnego-europejskiego. Churchillowi z trudem początkowo przychodziło w ogóle dopuszczenie Chin do Wielkiej Koalicji oraz Związku Sowieckiego w kwestiach Europy Zachodniej, gdy tymczasem Roosevelt od początku traktował udział Chin priorytetowo zarówno jako przeciwwagę dla Japonii oraz jako pożądany sygnał odchodzenia Wielkiej Brytanii od polityki kolonialnej.

Natomiast obecność Związku Sowieckiego wydawała się obu stronom konieczna i niezbędna. Ta konstatacja doprowadza następnie autorów do wyodrębnienia oddzielnego rozdziału VII zatytułowanego *Czy Rosjanie będą partycypować?*. Nadanie zagadnieniu temu tak szczególnego znaczenia w ujęciu proponowanym przez obu badaczy, z punktu widzenia czytelnika ma niewielki sens. Historia bowiem odpowiada jednym krótkim słowem „tak”. Jednakże można byłoby pokusić się o dokonanie analizy na ile same kraje anglosaskie oceniały realność przyłączenia się Moskwy, choć może bardziej nurtującym pytaniem byłoby nie czy w ogóle, ale w jakich uwarunkowaniach, za jaką cenę, w którym momencie. Wobec jednakże tak uproszczonego pytania autorzy sami stają się miejscami bezradni, zbaczając z głównego tematu i koncentrując się na ostrym konflikcie w Departamencie Stanu między C. Hullem a S. Wellesem. Tymczasem czytelnik ma już do swojej dyspozycji pełniejszą i barwniejszą książkę ukazującą wielopłaszczyznowo ów konflikt. Jest nią Irwina F. Gellmana *Secret Affairs. Franklin Roosevelt, Cordell Hull and Sumner Welles*, New Haven 1995.

Kolejne natomiast rozdziały wprowadzają już czytelnika w wielki świat dyplomacji i konferencji wielkich mocarstw: VIII — *Quebec i Moskwa*, IX — *Kair i Teheran*, X — *Wielkie nadzieje i nieodłączne ograniczenia* i mimo że trzej wielcy przywódcy: Roosevelt-Churchill-Stalin spotkali się po raz pierwszy razem dopiero na przełomie listopada i grudnia 1943 r. w Teheranie (kryptonim EUREKA), to jednak już wcześniej zostały podjęte odpowiednie ustalenia nadające kształt przyszłej organizacji pokojowej. I tak np. w trakcie pierwszego

spotkania Roosevelta i Churchilla w Quebec (kryptonim QUADRANT) umarła cichą śmiercią idea natychmiastowego powołania takiej organizacji o charakterze tymczasowym, na czas wojny, choć zatwierdzony został jednocześnie skład decydującej Wielkiej Czwórki.

W Moskwie na przełomie października i listopada 1943 r. ministrowie spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Związku Sowieckiego — C. Hull, A. Eden i W. Mołotow — przygotowali grunt pod spotkanie w stolicy Iranu. Dla Rosjan najważniejsze były kwestie militarne związane z utworzeniem drugiego frontu, dla Amerykanów — deklaracja Czterech Mocarstw, włączenie Związku Sowieckiego do ekonomicznych powojennych ustaleń, decyzje wobec pokonanych Niemiec oraz szerokie trójstronne konsultacje polityczne i ekonomiczne. Konferencja ta unaczniła niechęć i opór Kremla wobec wzmacniania średnich państw związkami federacyjnymi czy podejmowania wspólnych decyzji w gronie „4” w sprawie użycia sił zbrojnych na terenie innego państwa w celu prowadzenia wojny.

Uzmysłowiła również traktowanie przez Kreml rejonu Europy Wschodniej jako wyłącznej strefy własnych wpływów. Szczególnie wyraźnie ujawniło się to przy okazji omawiania kwestii Polski. Niestety, sprawa polska została potraktowana przez autorów nazbyt lapidarnie bez zrozumiałego naszkicowania ogólnej sytuacji politycznej, a czasem nawet bez podstawowej bazy faktograficznej. Pojawiają się też błędy. Według autorów już na początku 1943 r. nastąpiło zerwanie dyplomatycznych stosunków polsko-sowieckich (s. 90), gdy w rzeczywistości miało to miejsce 25 IV 1943 r. Zdaniem autorów, od tego momentu Kreml uznawał jedynie powołany przez siebie komunistyczny substytut władzy polskiej określany dość dziwnie w książce mianem „Lublin Poles” — „Polacy lubelscy”, choć w rzeczywistości w Lublinie (początkowo w Chełmie) swą siedzibę znalazło PKWN utworzone dopiero w lipcu 1944 r. po wyzwoleniu wschodnich terenów Polski przez Armię Czerwoną spod okupacji niemieckiej. Zachód odmawiający uznania „Polaków lubelskich” popierał „Polaków londyńskich” — „London Poles” (s. 90), jak piszą wręcz językiem obrazkowym Autorzy zamiast używać sformułowania „government-in-exile” — rząd na uchodźstwie. Wreszcie o polskim państwie podziemnym i jego strukturach nie ma najmniejszej wzmianki, co szczególnie komplikuje zrozumienie wybuchu Powstania Warszawskiego sygnalizowanego w rozdziale XII, s. 140 oraz procesu szesnastu w Moskwie w rozdziale XVI, s. 191. Ogólnie Autorzy konstatują: „Kwestia Polski pozostawała gorzkim sporem między Wschodem a Zachodem” (s. 191).

Wracając jednak do konferencji w Moskwie, Autorzy podkreślają, że to właśnie tam zapadła decydująca trójstronna decyzja o konieczności utworzenia międzynarodowej organizacji dla utrzymania pokoju. Wpisana została ona jako 4 paragraf deklaracji moskiewskiej. Hull triumfował. Jednakże Welles brutalnie odsunięty przez swego zwierzchnika od wpływu na bieg wypadków w „New York Herald Tribune” publicznie oponował przeciw tak jawnej dyktaturze czterech i nawoływał do jak najszybszego powołania pełnej organizacji.

Do Teheranu Roosevelta i Churchilla wiodła droga przez Kair, gdzie doszło do rozmów z Chiang Kai-Shekiem (22-26 XI 1943 r., kryptonim SEXTANT). Jednakże na spotkanie ze Stalinem do stolicy Iranu obaj przywódcy anglosascy przybyli oddzielnie, by nie wzbudzać podejrzeń podejmowania jakichkolwiek decyzji bez udziału partnera z Kremla. Kooperacja ze Związkiem Sowieckim stawała się absolutnie niezbędna.

Teheran dał już konkretne podstawy do szczegółowego planowania organizacji, chociaż zagadnienie to nie było przedmiotem debat żadnej z plenarnych sesji. Decydującą rolę odegrało drugie z trzech poufnych rozmów Roosevelta ze Stalinem. Początkowe rozbieżności zdań dotyczyły struktury całej organizacji. Stalin podzielał bowiem obawy Churchilla co do roli Chin w koalicji oraz pogląd o konieczności nadania organizacji głównie regionalnego

charakteru. Ostatniego jednakże dnia sowiecki dyktator zaakceptował Rooseveltowską koncepcję jednej centralnej, choć mocno złożonej, struktury. Jako przeciwnik utworzenia międzynarodowej organizacji na zasadzie równości i niezawisłości, faworyzując sojusz militarny Waszyngtonu, Londynu i Moskwy, Stalin dostrzegł bowiem — poza proponowanym przez Roosevelta stowarzyszeniem narodów z radą wykonawczą (4 mocarstwa + 6-7 reprezentantów regionalnych) — przede wszystkim policyjną funkcję wielkich mocarstw. Trzeci organ proponowany przez amerykańskiego prezydenta, złożony z przedstawicieli Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Związku Sowieckiego i Chin, miał jedyny podejmować decyzje w chwilach największego zagrożenia.

Nie została natomiast przesądzona jeszcze wówczas nazwa organizacji, którą Roosevelt umownie określał mianem Narodów Zjednoczonych, nawiązując do podpisanej przez 26 państw deklaracji, Departament Stanu — Wspólnotą Narodów, Rosjanie zaś — Międzynarodową Organizacją Bezpieczeństwa, Radą Bezpieczeństwa, a później Unią Światową.

Na podstawie ustaleń teherańskich Departament Stanu przystąpił do szczegółowego już opracowania projektu nowej powojennej międzynarodowej organizacji, w takiej postaci, by mógł być następnie przedyskutowany w gronie Wielkiej Koalicji. 3 II 1944 r. gotowy tekst uzyskał akceptację prezydenta. Organizacja miała składać się ze Zgromadzenia Ogólnego, Rady Bezpieczeństwa, Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości, sekretariatu oraz agend ekonomicznej, społecznej, powierniczej. Pozostawało jednakże wiele kwestii otwartych np.: pogodzenie suwerenności państw z jej ograniczeniem w celu zastopowania agresora, zasady użycia siły i jej dostępności, liczba rotacyjnych członków Rady Bezpieczeństwa (Wielka Czwórka zasiadała w Radzie permanentnie), zasady głosowania — zwykła większość głosów czy bezwzględna, zasady *veta* — jednomyślność Wielkiej Czwórki czy prosta większość itd.

I mimo że wszystkie plany były przygotowane, Roosevelt nadal ociągał się z podjęciem dyskusji na ten temat na forum publicznym. Jego milczenie, jak piszą Autorzy w rozdziale XI *Polityka wewnętrzna roku 1944*, wywoływało rozczarowanie prasy inspirowanej różnymi innymi doniesieniami z Moskwy i Teheranu i prowadziło do spekulacji o istnieniu specjalnych, tajnych uzgodnień. Niezadowolone opinii publicznej zmusiło w końcu Departament Stanu do złożenia oficjalnych oświadczeń oraz do stałych konsultacji ze specjalnie powołaną komisją senacką. Dopiero jednakże w połowie czerwca 1944 r. zdecydowano się na zaprezentowanie społeczeństwu mocno skróconej i okrojonej wersji projektu ONZ, który natychmiast wywołał polemikę. Większość Amerykanów akceptowała już udział USA w powojennym świecie, dyskutowała jedynie o roli i miejscu.

Wreszcie nadeszła jedna z najważniejszych dla ONZ chwil — konferencja w Dumbarton Oaks (rezydencja w Washington, D. C.) w dniach 21 VIII-7 X 1944 r., której Autorzy poświęcają aż dwa kolejne rozdziały XII i XIII. Myliliby się jednakże ten czytelnik, który sądziłby, że taka konstrukcja odzwierciedla dwa wyraźnie zarysowujące się etapy konferencji w całości poświęconej tworzeniu organizacji pokojowej — pierwszy do 28 września z udziałem delegacji amerykańskiej, brytyjskiej i sowieckiej, drugi od 29 września dodatkowo z udziałem delegacji chińskiej, ale już bez delegacji sowieckiej. Trudno po zapoznaniu się z tymi rozdziałami wskazać wyraźne kryteria, jakimi kierowali się Autorzy przy podziale i systematyzacji tak obszernego materiału, tym bardziej że strona chińska prawie całkowicie została pominięta. Tytuły brzmią dość enigmatycznie *Dumbarton Oaks I* i *Dumbarton Oaks II*.

Na plan pierwszy natomiast wyraźnie wysuwa się agresywna i zaborcza polityka sowiecka. Co prawda, według autorów, w licznej 18-osobowej delegacji amerykańskiej, przewodzonej przez podsekretarza stanu Edwarda Stettinius, dominowało mniejsze niż dotychczas zaufa-

nie wobec Moskwy, to jednak wszystkie działania zmierzały do włączenia Rosjan do powojennego systemu planowania. Lista rozbieżności stanowisk wyłaniała się jednak dość pokaźna i dotyczyła wszystkich czterech najważniejszych zagadnień: zakresu prac organizacji, międzynarodowych sił lotniczych, członkostwa i *veta*.

Rosjanie, którym przewodniczył nowo mianowany ambasador w Waszyngtonie, Andrej Gromyko, dążyli do utworzenia organizacji na zasadzie wojskowego aliansu, utrzymującego pokój, składającego się wyłącznie z już zadeklarowanych 26 członków-sygnatariuszy z mocno zintegrowanymi siłami wielkich mocarstw. Tymczasem dla Amerykanów organizacja ta jawiła się jako instytucja zdecydowanie bardziej uniwersalna ze swobodnym dostępem pozostałych państw aktywnie uczestniczących w wojnie po stronie aliantów, będąca nie tylko wojskowym aliansem, ale także ekonomicznym czy społecznym.

Największe jednakże emocje wzbudziła kwestia *veta*. Strona rosyjska stała sztywno na stanowisku pełnej jedności Czterech Mocarstw w głosowaniu w Radzie Bezpieczeństwa, gdy tymczasem strona amerykańska opowiadała się za zwykłą większością tzn. 3 z 4, przy wyłączeniu z głosowania kraju będącego przedmiotem sporu. Autorzy nieustępliwość Moskwy w tej kwestii tłumaczą obawami Stalina przed manipulowaniem decyzjami przeciwko Związkowi Sowieckiemu jako państwu komunistycznemu. Główna różnica, ich zdaniem, leżała w odmiennych wartościach ideologicznych Wschodu i Zachodu. O ile Zachód wierzył w zasadę władzy większości i ochronę praw mniejszości, o tyle Kreml lekcewał te zasady i gotów był wszelkimi sposobami bronić swych praw bezpieczeństwa. Amerykanie i Brytyjczycy wierzyli, że kraje wyzwalane mają prawo wyboru swej politycznej przyszłości, gdy tymczasem Rosjanie traktowali ten wolny wybór jako niebezpieczny środek do redukcji i odrzucania komunizmu, do tworzenia nieprzyjaznych Moskwie rządów w krajach Europy Środkowo-wschodniej. Jak wyjaśniał M. Litwinow w Moskwie A. Harrimanowi „byłoby bezpodstawne i niczym nie uzasadnione traktowanie na równi 30 mln Polaków i 180 mln Rosjan. W przypadku sprzeczności w interesach Polacy muszą ustąpić” (s. 149).

Chcąc wzmocnić swą pozycję w Radzie Bezpieczeństwa i z obawy przed politycznym i ustrojowym zdominowaniem przez innych, Rosjanie zażądali w Dumbarton Oaks 16 dodatkowych miejsc w Radzie dla swoich republik. Roosevelt nakazał natychmiast prywatnie i osobiście przekazać Gromyce odpowiedź, że zrukuje to wszelkie dotychczasowe zabiegi i starania. Idea, opatrzona w tajnych dokumentach klauzulą „sprawa X”, wydawała mu się tak samo bezsensowna, jakby Amerykanie wystąpili z żądaniem dla siebie dodatkowych 48 miejsc w Radzie Bezpieczeństwa.

W sprawie *veta* Stalin nie dał się przekonać Rooseveltowi, który w specjalnym telegramie apelował o kompromis. Powołując się na ustalenia poczynione w Teheranie, odpowiedział amerykańskiemu prezydentowi, że w ramach Wielkiej Czwórki nie ma miejsca na wzajemną nieufność, a absurdalne uprzedzenia wobec Związku Sowieckiego wymagają absolutnego *veta* w imię samoobrony. Zarzucając sojusznikom zachodnim odchodzenie od regionalnego podziału interesów, Stalin domagał się jedności Wielkiej Koalicji wyrażonej *vetem* absolutnym jako gwarancji i akceptacji podziału stref wpływów.

Nie zmienił swego zdania nawet wówczas, gdy w planach międzynarodowego powiernictwa Roosevelt uwzględnił możliwość rozlokowywania na świecie baz militarnych należących do Rosjan. W końcu zdecydowano, że *veto* i tzw. sprawa X zostaną odłożone i przedyskutowane przez Stalina i Churchilla odrębnie w późniejszym terminie. Udział Moskwy w ostatecznej konferencji uzależniony był od efektów tych rozmów.

Wydana na zakończenie wspólna rezolucja Czterech Mocarstw zatytułowana *Propozycje utworzenia ogólnej organizacji międzynarodowej* zawierała kilka niespodzianek. Zgromadzenie Ogólne tworzyli wszyscy członkowie Zjednoczonych Narodów, w 11-osobowej Radzie Bezpieczeństwa miało jednak odtąd zasiadać na stałe 5 Wielkich Mocarstw z Francją jako nową koalicjantką. Prezydent zapytany, jak ocenia wyniki konferencji, wyraził zadowolenie, że tak dużo zostało osiągnięte w tak ważnej i trudnej sprawie w tak krótkim czasie. Jednakże brytyjski historyk Charles Webster uznał, że połowiczność osiągnięć wynikała właśnie z faktu, że chciano zbyt szybko rozwiązać problemy, które przez wieki pozostawały nie rozwiązane.

Zwycięstwo interwencjonistów w wyborach prezydenckich 1944 r., o czym traktuje rozdział XIV i ponowny czwarty już wybór Roosevelta, były jednoznacznym społecznym mandatem dla amerykańskiego udziału w międzynarodowej organizacji pokojowej oraz aktywnego uczestnictwa w powojennym świecie. Kończyła się era izolacjonistów, takich jak Gerald Nye czy Hamilton Fish.

Nie rozstrzygnięta kwestia *veta* oraz dodatkowych miejsc w Radzie Bezpieczeństwa porwociła w dyskusjach między mocarstwami na konferencji w Jalcie (kryptonim ARGONAUT) w lutym 1945 r., o czym piszą Autorzy w rozdziale XV zatytułowanym *Zima nie przynosząca rozwiązań*. Po długich debatach noszących znamiona politycznych targów osiągnięto kompromis. Moskwie obiecano dwa dodatkowe miejsca w Radzie Bezpieczeństwa dla Ukrainy i Białorusi w zamian za prawo Stanów Zjednoczonych do ewentualnych 3 miejsc dodatkowych w przyszłości. Ustalenia te umożliwiły wyznaczenie daty ostatecznej założycielskiej konferencji w San Francisco na 25 IV 1945 r. Każdy kraj, który podpisał do tego momentu Deklarację Narodów Zjednoczonych miał prawo uczestnictwa.

Rzeczywistość i w tym wypadku okazała się odmienna, co pokazuje rozdział XVI *Spór i kompromis w San Francisco*, w grupie bowiem 50 państw, których reprezentanci przybyli ostatecznie do Kalifornii zabrakło Polski, kraju od początku wojny dającego konsekwentnie odpór hitlerowskiemu najeźdźcy. Stało się tak za sprawą niedotrzymania przez Stalina obietnic w Jalcie utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. W rezultacie Kreml odrzucał stanowczo możliwość polskiej reprezentacji spośród nadal uznawanego polskiego rządu na uchodźstwie, Zachód zaś nie akceptował wyłącznej reprezentacji spośród komunistów. Departament Stanu wydał nawet specjalne oświadczenie w brzmieniu: „Polska jest członkiem Narodów Zjednoczonych i zgodnie z prawem powinna być obecna w San Francisco. Jednakże Stany Zjednoczone stoją na stanowisku, zgodnie z krymskimi ustaleniami, że zaproszenie dotyczy wyłącznie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej” (s. 188). Całkowity pat w tej sprawie spowodował, że kraj nasz miał możliwość podpisania uchwalonej w czerwcu 1945 r. Karty Narodów Zjednoczonych, samotnie i oddzielnie dopiero 16 X 1945 r.

Paradoksalnie o wiele korzystniejsze uwarunkowania geopolityczne miała w tym czasie Argentyna, początkowo również nie zaproszona. Stanowiła ona z kolei ogromny problem dla Stanów Zjednoczonych. Ze względu na ogłoszenie w czasie wojny neutralności *de facto* sprzyjającej Hitlerowi, traktowana była przez Waszyngton jako państwo wrogie mimo podpisania w marcu 1945 r. Deklaracji Narodów Zjednoczonych. W trakcie jednakże obrad okazało się, że Stany Zjednoczone nie są w stanie wywiązać się ze swoich obietnic wobec Związku Sowieckiego przyznania dodatkowych miejsc w Radzie Bezpieczeństwa dla Ukrainy i Białorusi bez poparcia republik latynoamerykańskich, a te solidarnie domagały się reprezentacji Argentyny.

Mimo wielu głosów krytycznych, oskarżeń o cyniczne wyparcie się przez aliantów podstawowych celów wojennych, „dyplomatyczne powietrze” — piszą Autorzy — zostało w ten

sposób oczyszczone, a Moskwa będąca pod silnym wrażeniem determinacji Waszyngtonu, starała się od tego momentu unikać publicznej konfrontacji i wykazywała więcej gotowości do dyskusji.

Trzeba przyznać, że ten ostatni rozdział, szczególnie dla czytelnika polskiego staje się wyjątkowo gorzki i tragiczny w swej wymowie. Okazuje się bowiem, że Polska nieobecna fizycznie w San Francisco, przyczyniła się swoim dramatem do uratowania, być może, losów całej konferencji. Miało to miejsce w chwili nadejścia kolejnego kryzysu dyplomatycznego w sprawie *veta*. Ustalenia jałtańskie stwierdzały, że stali członkowie Rady Bezpieczeństwa mają prawo wetaować decyzje, ale nie sprawy proceduralne. Jednakże nikt nie określił definicji pojęcia „procedura”. Rodziło się więc pytanie, czy sama dyskusja nad jakimś konfliktem jest procedurą, czy też może zostać zastopowana przy użyciu *veta*? Strona sowiecka rozciągała prawo *veta* i na dyskusję, gdy tymczasem strona amerykańska stanowczo to odrzucała. Wobec kolejnego paraliżu decyzji Stettinius zaproponował wręcz szatańskie rozwiązanie. Harry Hopkins, który właśnie przebywał w Moskwie, w celu ostatecznego uregulowania kwestii polskiej, miał podjąć bezpośrednio ze Stalinem mediacje w sprawie *veta*. Niewielu wówczas polityków i dyplomatów wiedziało o tej akcji, wszystkim zaś obserwatorom wydawało się, że konferencja w San Francisco utknęła w martwym punkcie.

Tymczasem 6 VI 1945 r. ostatniego dnia wizyty na Kremlu, Hopkins rozpoczął swe dyplomatyczne działania w sprawie *veta*. Stalin po wysłuchaniu relacji i konsultacjach z Molotowem, wyraził wprawdzie zdziwienie, że nie był na bieżąco informowany, a następnie będąc w znakomitym humorze i pokojowo nastawiony zalecił przyjęcie stanowiska amerykańskiego. Radość i ulga zapanowały w amerykańskiej delegacji w San Francisco. Noty gratulacyjne wymieniali między sobą Truman, Stettinius, Hull i Grew.

26 VI 1945 r. Truman przybył do San Francisco, by osobiście zamknąć obrady. Niecały tydzień później przedstawił w senacie do ratyfikacji Kartę Narodów Zjednoczonych, która została przyjęta 28 VII 1945 r. 89 głosami za i jedynie 2 przeciw.

Karta Narodów Zjednoczonych zatwierdzona w San Francisco, której pełny tekst zamieszczają Autorzy w aneksie, zachowywała podstawowe strukturalne ustalenia z Dumbarton Oaks. Wyodrębniała Radę Bezpieczeństwa zdominowaną przez 5 Wielkich Mocarstw, zajmującą się jurysdykcją utrzymania pokoju, oraz Zgromadzenie Ogólne — do dyskusowania nad szerokimi zagadnieniami pokojowymi świata.

W sumie prezentowana książka, mimo drobnych potknięć i pewnych nieścisłości, stanowi pasjonujący materiał do studiów nad dziejami dyplomacji wojennej w ramach Wielkiej Koalicji, do badań nad historią małych i średnich państw, będących przedmiotem w rękach potężnych, do analizy szerszych zjawisk w międzynarodowych stosunkach współczesnego świata.

Hanna Marczevska-Zagdańska
Warszawa

Daniela Kałkandziewa, *Byłgarskata prawosławna cyrkwa i dyrżawata 1944-1953*, Wydawnictwo „Albatros”, Sofia 1997, ss. 252

W historiografii bułgarskiej brak było dotychczas prac poświęconych stosunkom państwa z organizacjami religijnymi w okresie po II wojnie światowej. Władze komunistycznej Bułgarii nie były zainteresowane powstawaniem takich prac, a tym bardziej ich publikowaniem. Nie